

INA LORELEI

AWANTURNICY Z KARAIBÓW



Pamięci Roberta Charroux,

poszukiwacza skarbów i tropiciela zagadek historii, którego autentyczne historie o skarbach, żeglarzach i awanturkach zainspirowały mnie do napisania tej powieści

© Copyright by Ina Lorelei

ISBN 978-83-928528-8-9

Projekt okładki by autor. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

Rozdział 1. Dla tych, którzy zawsze wiedzą, co będzie jutro

Należałam do takich osób, aż do pewnego czerwcowego wtorku 199... roku. Za oknem królowało lato, chociaż według kalendarza panowała jeszcze wiosna. A ja, zamiast pójść na spacer, zakuwałam do egzaminu w moim mikroskopijnym mieszkanku na poddaszu starej krakowskiej kamienicy. Mieszkanku niezupełnie moim, bo wynajmowanym. Mikroskopijnym i na poddaszu, bo tylko na takie było mnie stać. Pojęcie „zakuwanie” traktowałam umownie – nigdy nie było moją specjalnością. Nie mogąc się skupić na podręczniku z finansów międzynarodowych, od czasu do czasu przywoływałam do porządku moje myśli, bujające swobodnie pomiędzy Andami a dorzeczem Orinoko w poszukiwaniu legendarnego El Dorado. Nawet mi do głowy wtedy nie przyszło, że za parę dni znajdę się bliżej Orinoko niż Wisły! Że spotkam poszukiwaczy skarbów i piratów, moje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, a pewien przystojny Latynos zostanie moim adoratorem ...

Nieświadoma tego, co mnie czekało, toczyłam beznadziejną walkę z podręcznikiem do finansów. Dobrodziejstwa systemów podatkowych krajów zamorskich ani rusz nie wchodziły do mojej biednej głowy. Samo określenie „raj podatkowy” wywoływało wyłącznie „rajskie” skojarzenia. Przed moimi oczami rozwijały się obrazy bezkresnych, bezludnych plaż, okolonych zielonymi pióropuszcami palm. Oślepiający blask białego piasku i intensywny błękit wody morskiej. A może turkus? Egzotyczne smaki – kokos, mango, ananas... Właśnie leżałam na takiej plaży, sącząc chłodne *piña colada* (oczywiście w mojej wyobraźni), gdy nagle usłyszałam natarczywy dźwięk dzwonka do drzwi. Skąd dzwonek na rajskiej plaży?

Za drzwiami stał Wojtek. Normalnie, jak to on, wpadł jak burza i bez żadnych wstępów zaczął od końca:

- Młoda, zacznij się pakować! Wyjeżdżamy!
- Chyba cię pogięło, Wojtusi! Po co mam się pakować? Mam jutro egzamin z systemów prawnych krajów zamorskich, czyli tzw. rajów podatkowych! Mózg mam przeładowany wiedzą, zaraz mi eksploduje...
- Co ty wygadujesz? Znowu coś zdajesz? Jakich „rajów podatkowych”???
- Aktualnie studia podyplomowe z finansów międzynarodowych. – Pochwaliłam się.
- I czego was tam uczą?! „Rajów podatkowych”? To akademia dla szarej strefy, czy co? Proponuję taki tytuł podręcznika „Jak wyprać milion złotych i nie pójść siedzieć”, hehehe...

– Strasznie śmieszne! – Oburzyłam się. – Nic z tych rzeczy, to poważny i legalny przedmiot...

– Jeśli tak, właśnie masz niepowtarzalną okazję na własne oczy zobaczyć jeden z tych rajów! Klimatycznych i... podatkowych też. Chyba nie przepuścisz takiej okazji, Młoda?

Takie „wejście smoka” było całkiem w stylu Wojtka. Miał odjazdowe pomysły i mnóstwo różnych zainteresowań. Jeśli do czegoś się zapalił, nie istniała żadna siła, która mogłaby go powstrzymać. Miał całą masę różnej maści znajomych, a wśród nich kilku przyjaciół. Należałam do tego grona, co przypieczętowane zostało przezwiskiem „Młoda”. Poza tym, że miał rodzinę i prowadził własną firmę, znajdował jeszcze czas na tenisa, wspinaczkę w skałkach, jazdę na nartach, grę na gitarze. Zdobył patent żeglarza i mistrza w zawodach strzeleckich. Interesował się kosmologią i samochodami. Chyba niczego nie pominęłam?

Wojtek był szczupłym, średniego wzrostu blondynem, wyglądającym najwyżej na trzydziestkę, chociaż tak naprawdę miał trochę więcej. Znaliśmy się na wylot i rozumieliśmy w pół słowa. Tym razem jednak nie potrafiłam odgadnąć, o co chodziło.

– Znasz Jarka?

– Jarka??? Hmm... znam kilku Jarków....

– No tego, co grywa ze mną w tenisa i...

– Aaa, tego, co jego tato ma duuużę kasę? – Wpadłam mu w słowo. – Jasne, że nie znam! (skąd niby miałabym go znać?) A ty skąd masz takie znajomości???

– Moja słodka tajemnica. Mamy ze sobą wiele wspólnego, chociażby wspólne uzależnienie od adrenaliny, hehehe... Zresztą poznasz go wkrótce. Jaro jest w porzo, mimo problemów z ilością kasy do wydania...

– Chciałabym mieć takie problemy! I co, gdy go poznam?

– Wyjeżdżamy, Młoda! I to daleko! Wyspy południowe! Będziemy poszukiwaczami skarbów!

– Wojtusi, usiądź sobie, a ja ci przyniosę coś zimnego do picia i jakiś kompresik.

– Młoda, słuchaj mnie! To nie żadna ściema. Jarek podjął decyzję życia! Postanowił zrobić dobry uczynek i zafundować sobie i paru przyjaciołom wyjazd na morza południowe! Naszym celem będzie poszukiwanie skarbów. Gdyby nie on, nie byłoby nas stać na taki wyjazd. Ale nic za darmo – Jarek potrzebuje nas, tak jak my jego. W szczególności naszych

umiejętności. No nie rób takich okrągłych oczu, dziewczyno. Rozumiesz? A ty... ty masz szczęście, że znasz mnie, no i, że obracasz nieźle kilkoma potrzebnymi językami!

Fakt, „obracałam”. Angielski i francuski biegle, hiszpański nieźle. Trochę świata dotąd zwiedziłam. Właściwie tylko Europy, więc najwyższy czas wyruszyć w bardziej egzotyczne strony! Podróżowałam namiętnie, kiedy tylko była okazja i jak się dało. Jako student-praktykant, turysta, sezonowa siła robocza też. Wiele się można nauczyć i zobaczyć podróżując w taki sposób. Więcej niż z biurem podróży. Ostatnio moje kwalifikacje językowe przydawały się w pracy tłumacza w dużym koncernie międzynarodowym.

– O dzięki ci mój dobroczyńco! Przy tobie Wojtusi, to i cuda się zdarzają! Można poszukiwaczem skarbów zostać. Albo milionera spotkać, co to ma fantazję wydawać pieniądze tatusia...

– Nie tatusia, ale własną kasę, którą osobiście zarobi!

– ...w firmie tatusia. – Dokończyłam (czasami człowiek nie zdąży się ugryźć w język).

– Wojtek, przystopuj, gadasz jak potłuczony!

– ...i w ogóle, jedziemy na wyprawę, nie na wycieczkę! – Ciągnął niewzruszenie Wojtek. – To zasadnicza różnica. Podzielimy się zajęciami i obowiązkami, tak jak będzie wymagała sytuacja. Przecież wiesz, na takiej wyprawie trzeba być tragarzem, kucharzem, marynarzem, chłopcem okrętowym, mechanikiem, kierowcą, nurkiem, tłumaczem... tłumaczem to raczej ty, Młoda. Nikt nie jest w stanie przewidzieć wszystkich ról, w jakich wystąpimy na takiej wyprawie. Niestety, nic za darmo na tym parszywym świecie! Wszystko trzeba odpracować. Widzisz, co skarby piratów potrafią uczynić z człowieka!

– Jakie skarby? Jakich piratów? Oczadziałeś? – Dotąd nie brałam poważnie tego opowiadania.

– Po kolei, i w skrócie... Nie masz jakiegoś browara dla ochłody? W gardle mi zaschło.

– Przecież wiesz, że nie używam piwa pod żadną postacią... może być woda albo sok?

– No dobra, dawaj...

Nie czekając, aż dostanie obiecany napój, ciągnął opowiadanie:

– Otóż mój przyjaciel Jaro gdzieś spotkał żeglarza, zresztą znajomego jego ojca, który to żeglarz, nie ojciec, okazał się równocześnie pletwonurkiem i poszukiwaczem skarbów. Pracuje, czyli nurkuje zazwyczaj na tzw. Srebrnej Barierze, w rejonie Bahamów. Nie patrz tak na mnie, tak, tak, jest taki zawód... Jaro, znudzony do bólu brakiem pomysłów na życie,

chodził koło pomysłu wyprawy. Chodził, przemyślał, marudził, aż wreszcie namówił do tego pomysłu innych! (tak jakby Wojtka trzeba było namawiać do takich pomysłów!)

Słuchałam i zastanawiałam się, czy to mi się śni, że Wojtek siedzi naprzeciw, opowiadając o skarbach, wyprawie, południowych morzach? Tak jakby nigdy nic... Wiedziałam, że zawsze gnała go przed siebie żyłka poszukiwacza przygód. Tak jak i mnie...

– W każdym razie tamten poszukiwacz, jako znawca tematu, wybrał nam miejsce... – Tu Wojtek zawiesił głos, żeby spotęgować moją ciekawość.

– To już dokończ i powiedz gdzie?

– Wszystko w swoim czasie. Za trzy dni jesteśmy umówieni z nim na Karaibach. Pojutrze wylatujemy do Londynu, a w piątek lądujemy na „naszej” wyspie!

Jak wynikało z dalszej części opowiadania, Jarek wykupił dla nas tygodniowy pobyt przez amerykańskie biuro podróży obsługujące tę część świata. *All inclusive, last minute* – to były magiczne słowa, które zawsze kojarzyły mi się z zalaną słońcem plażą, turkusowym morzem i palmami. W cenie był przelot w obie strony z Londynu, do Londynu koszty pokrywaliśmy sami. Kilkaset zielonych na twarz za tygodniowy pobyt w rajku to nie była wygórowana cena. Mieliśmy tydzień na przygotowania organizacyjne. W tym czasie mieliśmy załatwić między innymi wynajęcie jachtu, na którym potem zamieszkamy i z którego będziemy prowadzić właściwe poszukiwania.

Jeżeli dobrze Wojtka zrozumiałam, skala kosztów nie stanowiła dla Jarka żadnego problemu, więc nie powinnam robić sobie wyrzutów. Tym bardziej, że zamierzałam solidnie odpracować przypadającą na mnie część. Wojtek, który jako jedyny z nas znał się na żeglowności, miał być prawą ręką nieznanego żeglarza. Ten z kolei, jako zawodowy poszukiwacz, pletwonurek, posiadacz patentu kapitana żeglugi, znający lokalne warunki, miał objąć kierownictwo wyprawy. Strasznie chciałam go poznać – musiał być niezwykle ciekawym człowiekiem.

Mieliśmy wyruszyć na wyprawę w nieznaną po „złote runo”, jak niegdyś w starożytnym micie Argonauci pod wodzą Jazona. Moja dusza poszukiwacza przygód wyła ze szczęścia! Nareszcie okazja, żeby się wyrwać poza nasz kontynent! Egzotyka w pełnym wymiarze, i to nie na pokaz dla turystów. Oczywiście, zdawałam sobie sprawę, że ryzyko ponosimy sami, cokolwiek się wydarzy. Decyzję podjęłam w pół sekundy. Z wrażenia nie zwróciłam uwagi, że to Wojtek podjął decyzję za mnie, przed zapytaniem mnie o zgodę!

Była jeszcze tylko jedna mała przeszkoda do pokonania.

– Super! – Powiedziałam, gdy Wojtek skończył.– Tylko... co z moim jutrzejszym egzaminem??? Cóż, muszę pójść, nawet, gdybym miała oblać. Co jest więcej niż pewne po takich rewelacjach...

– Nudna jesteś, Młoda, egzamin, i egzamin! Dasz radę, zdolna jesteś! Do wszystkiego! (Aluzja trafiona – żeby podróżować byłam zdolna do wielu rzeczy, ale żeby do wszystkiego – to już gruba przesada!) To ja tu do niej z propozycją nie do odrzucenia, a ona... No dobrze, jeśli oblejesz i wywalą cię z uczelni, znajdę ci jakieś zajęcie u mnie. Żebyś nie umarła z głodu.. Co powiesz, na przykład, na etat sprzątaczkę?...

*

I oto minęły trzy dni – trzy dni, w czasie których, jak bohater Josepha Conrada, żyłam w amoku. Tropikalnym amoku. Jedyłą myślą, która od tej rozmowy kierowała moimi myślami, krokami, oddechem, była myśl o wyjeździe... A więc to możliwe! Wtedy, gdy najmniej się tego spodziewałam, ziściło się jedno z moich najskrytszych marzeń!

Egzamin oczywiście zdałam. Nie ważne, na jaką ocenę. Ważne było, że za kilkadziesiąt godzin wyjeżdżam! Na spotkanie przygody!

Pierwszej nocy śniło mi się, że trafiłam do raju. Spacerowałam po nieskazitelnym piasku nad brzegiem oceanu. I nagle przypomniałam sobie, że miałam czegoś szukać. Co to było? Zaczęłam rozglądać się niespokojnie, gdy zobaczyłam Wojtka. Szedł w moim kierunku i wskazywał na morze. Spojrzałam i...zamarłam. Przy brzegu stał statek piracki. Odwróciłam się i krzyknęłam „Uciekajmy”, ale Wojtek zniknął! Boże, co robić? Rzuciłam się do ucieczki w głąb plaży i... nagle z tropikalnych zarośli wyłonił się Wojtek. Ale nie był to zwyczajny Wojtek, lecz pirat z opaską na oku, półnagi, straszny, wymachując zakrzywionym kordelasem w rękę. Krzyknął: „Dalej Młoda, oddawaj skarby!” I zniknął!

Obudziłam się przerażona, a sen poszedł natychmiast w zapomnienie. Przypomniał mi się dopiero po trzech dniach, na wyspie. Byłam umiarkowanie przesadna. Jednak po tym, co nas spotkało pierwszego dnia pobytu na wyspie, zaczęłam zastanawiać się, czy ten sen nie był proroczy? Minęły zaledwie trzy dni od naszej rozmowy, a ja siedziałam w pokoju hotelowym, o tysiące mil od kraju, w równie pięknym, co egzotycznym zakątku świata, na jednej z wysp Morza Karaibskiego. To były pierwsze godziny naszego pobytu, a już nieoczekiwane wydarzenie wytrąciło nas z równowagi. Była trzecia nad ranem, pomimo to nie mogłam

zasnąć. Przypomniałam sobie mój sen sprzed trzech dni. Sen, który okazał się proroczy. Czyżbym miała zdolności medialne? Nigdy przedtem tego nie doświadczyłam. Jednak teraz moje myśli krążyły uparcie wokół jednego prostego pytania:

GDZIE PRZEPADŁ WOJTEK?

A wszystko zaczęło się tak niewinnie! Zgodnie z planem, spotkaliśmy się z Jarkiem w Londynie i dalej już podróżowaliśmy razem. Jarek, którego znałam dotąd tylko z opowiadań Wojtka, okazał się równym facetem. Był wysokim brunetem, o nieregularnych rysach twarzy. Otwarty, energiczny, z poczuciem humoru. Wszystko byłoby z nim w porządku, gdyby nie jeden defekt – nie istniało dla niego słowo „niemożliwe”. Rozbrajające było to jego beztrioskie podejście do spraw finansowych oraz problemów życia codziennego. Jarek po prostu uważał, że rozwiązanie każdego problemu mierzy się ilością potrzebnych środków finansowych. Poza tym wszystko z nim było w porządku. Wojtek, który miał rodzinę na utrzymaniu i ograniczone środki finansowe do dyspozycji, siłą rzeczy z innej perspektywy patrzył na sprawy codzienne. Jednakże żadne przyziemne sprawy nie były w stanie przeszkodzić mu w realizacji planów. Kiedy pochłaniała go jakaś pasja, nic – ani brak czasu, ani zobowiązania rodzinne, czy zawodowe, ani brak tzw. kasy – nie były go w stanie powstrzymać. Czas można zawsze znaleźć, pieniądze zarobić lub zaoszczędzić. Każdą przeszkodę był w stanie pokonać – prędzej czy później – by wyruszyć na poszukiwanie przygody. W tym i wielu innych rzeczach byliśmy z Wojtkiem bardzo do siebie podobni. On miał rodzinę, a ja byłam singlem, a mimo to rozumieliśmy się znakomicie jako przyjaciele. Ostatecznie oboje byliśmy zodiakalnymi Bliźniakami!

Jak wspomniałam, do przyjazdu na wyspę wszystko szło zgodnie z planem. W piątek po południu wystartowaliśmy z Londynu. Po ośmiu godzinach lotu, również po południu (efekt przesunięcia czasu) wylądowaliśmy na wyspie. Port lotniczy, z lotu ptaka wyglądający jak olbrzymi hangar, okazał się bardzo nowoczesny. Kilkadziesiąt punktów odpraw, olbrzymi terminal, mnóstwo hałaśliwych Amerykanów, i spokojniejszych, choć nie mniej ruchliwych Latynosów. W tym tyglu narodów trudno było zresztą określić przynależność narodową w czystej postaci. Podobno na wyspie żyli przedstawiciele czterdziestu nacji!

Przy odprawie na lotnisku urzędnik imigracyjny zadał Jarkowi pytanie o cel przybycia. Nic szczególnego. Wojtka też o to spytali przed chwilą. Wojtek, jak to on, wymamrotał w swojej oszczędnej angielszczyźnie, że marzy o słońcu, ciepłym morzu i plaży. Ale Jarek miał jeszcze jedną cechę – lubił się popisywać swoją elokwencją i wdawać w długie dyskusje.

– Podobno macie tu, oprócz pięknych plaż, kilka ciekawych miejsc.

– *Yes, Sir. But what places do you mean?* O jakie miejsca panu chodzi? – Urzędnik okazał zainteresowanie i indagował dalej.

– No, różne. Historyczne. Z czasów pirackich.

– To znaczy?

– No, wie pan, ruiny, jaskinie, skarby piratów...

– Skarby piratów? To tylko bajki. Kto w nie wierzy?

– Jak to? – Zaperzył się Jarek, zanim zdążyłam go kopnąć w kostkę. – Są na to dokumenty, potwierdzające autentyczność tych historii. Au! Uważaj Iza, kopnęłaś mnie w kostkę!

Idiota! Jakbym nie wiedziała, gdzie celowałam! Na szczęście ostatnie zdanie odruchowo wypowiedział po polsku. Tylko, że było już za późno. Urzędnik „rzucił się” na niego, jak na drapieżnik na niespodziewaną zdobycz.

– Czy może należy pan do tych zwariowanych turystów, którzy odwiedzają naszą wyspę w celu poszukiwań skarbów? Nieistniejących skarbów. Czy ma pan pozwolenie?

– Nieee... Jak tylko tak... wydaje mi się, że to bardzo interesujący temat. Jakie pozwolenie?

Jarek jakoś w końcu zorientował się, że coś jest nie tak. Nie wiem, czy to moje kopnięcie, czy ton głosu funkcjonariusza otrzeźwił go. Obejrzał się na mnie bezradnie.

– Pozwolenie na poszukiwanie skarbów.

– Nie. Poproszę koleżankę o pomoc w tłumaczeniu, bo mój angielski jest trochę za słaby. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem.

Jarek nie zdawał sobie chyba sprawy, że jak sytuacja stawała się z każdym jego słowem coraz bardziej niebezpieczna. Facet w uniformie przyglądał nam się teraz uważnie i wręcz nieprzyjaźnie. Najwidoczniej poszukiwaczy skarbów nie witano tu z otwartymi ramionami. Poza tym tutejsi urzędnicy graniczni mają bardzo dużą władzę i lubią to okazywać. Jarek nie wiedział, że taki może wszystko, wliczając zawrócenie z granicy, jeśli im się ktoś nie spodoba. Już widziałam oczami wyobraźni, jak my z Wojtkiem zostajemy tu sami, a Jarka nie wpuszczają na wyspę. Albo inny scenariusz – wszystkich nas zatrzymują i odsyłają do Europy. O ile znałam Wojtkę, jako rasowy wspinacz miał w bagażu trochę swego sprzętu. Nie zwrócili na to uwagi i Wojtkę przepuścili. Ja też byłam już po odprawie. Ale teraz mogą nas

wziąć do powtórnej kontroli. Nie można dopuścić, by nasza wyprawa skończyła się, zanim się zaczęła!

Przysłuchiwałam się ich rozmowie bardzo uważnie. Jednakże, żeby zbagatelizować całą sprawę udałam, że nie słuchałam. Musiałam uzbroić się w cierpliwość i wykazać chęć współpracy z tutejszymi władzami. Każdy urzędas nie lubi być lekceważony.

– O jakie pozwolenie chodzi, proszę pana? Czyżbyśmy nie dopełnili jakichś formalności? Przecież spełniliśmy wszystkie formalności wizowe. Zamknij się, i ani słowa więcej!

To ostatnie zdanie wypowiedziane po polsku, było oczywiście skierowane do Jarka. Urzędnik wytłumaczył mi krótko i sucho, że nie o formalności wizowe tu chodzi, lecz o dodatkowe pozwolenie. Jeśli goście mają zamiar uprawiać jakąś inną działalność poza turystyką, na przykład zbierać okazy fauny i flory, lub przeszukiwać zatopione wraki, lub ruiny na lądzie, muszą to zgłosić.

– Ale my, proszę pana, jesteśmy turystami. Przyjechaliśmy tu odpocząć, poopalać się, popływać, ponurkować. O ile wiem, na nurkowanie nie potrzeba pozwolenia?

– Na zwykłe nurkowanie – nie. Ale kolega wspominał coś o poszukiwaniach skarbów. Na to wymagane jest pozwolenie!

– Być może, ale nas to nie dotyczy. Kolega lubi różne historie o piratach i ukrytych skarbach. Kto nie lubi tego słuchać, prawda? Cieszymy się po prostu na zwiedzanie wyspy. Słyszeliśmy, że agencje turystyczne organizują bardzo ciekawe wycieczki po wyspie. I tylko o takie zwiedzanie koledze chodziło.

Popatrzył na mnie, potem na Jarka, i jeszcze raz na mnie.

– Proszę uprzedzić tego pana, że nie wolno nigdzie kopać, ani ruszać ruin, ani zabierać niczego z wyspy. Inaczej może się to skończyć więzieniem i wydaleniem. Tu nie ma żadnych skarbów.

– Oczywiście, jeszcze raz dla pewności powtórzę mu to w naszym języku. – Po czym zwróciłam się do Jarka. – Słyszałeś? Zrozumiałeś wszystko? A teraz uśmiechnij się do niego, bo inaczej pomyśli, że coś ukrywasz. I jeszcze raz, albo dwa, albo pięć razy powtórz mu, że wszystko rozumiałeś. Że jesteśmy tylko turystami i niczego nie będziemy tu szukać.

Jarek bardzo gorliwie podszedł do moich instrukcji i zaczął gorąco zapewniać urzędas, że nic złego nie miał na myśli. Nie chodziło mu o żadne poszukiwania. Marzy tylko o wypoczynku na plaży i opalaniu. Funkcjonariusz miał już chyba dość jego gadatliwości i

przepuścił nas wszystkich. Wtedy nikt z nas jednak nie przypuszczał, że ten incydent może mieć swój dalszy ciąg.

Chociaż było późne popołudnie, na zewnątrz lotniska uderzył nas tropikalny skwar. Wyszliśmy przed budynek i zatrzymaliśmy się w miejscu, skąd firmowe busy hotelowe, zwane *shuttles*, zabierały gości.

– Dlaczego nie odbierają nas z hotelu? – Jarek niepokoił się. – Nie wysłali po nas busika?

– Jasne, a zawiadomiłeś ich łaskawie, że przyjeżdża Pan Jaro?

– Jareczku, nie spodziewali się nas o tej porze, nie przylecieliśmy z żadną grupą zorganizowaną. – Tłumaczyłam mu cierpliwie. – Najwidoczniej wszystkie *shuttle-busy* do naszego hotelu już odjechały.

– No właśnie, a można to było lepiej zorganizować.– Wyrzucał sobie Jarek.

– Jaro, wyluzuj, jest w porzo...

W końcu wzięliśmy taksówkę. Jechaliśmy wzdłuż wybrzeża w kierunku północnozachodnim. W drodze do naszego hotelu minęliśmy stolicę, która okazała się malowniczym miastem w stylu kolonialno–disneyowskim. Niska zabudowa, zdobione fasady, kolumny, ozdobne fryzy wieńczące budowle, rzeźbione balkony, okiennice chroniące przed tropikalnym słońcem.

No i te kolory! Oprócz dominującej bieli, bajeczne pastelowe róże, żółcie, zieleń, pistacje, jak w filmach Disneya. Pasaże handlowe wypełniał kolorowy tłum. Zbliżał się wieczór, pora wyczekiwana przez wszystkie bary, restauracje, dyskoteki. Dopóki nie zapadł zmrok, mogliśmy po drodze obserwować krajobraz wnętrza wyspy – suche i kamieniste połacie, porośnięte były kaktusowatymi zaroślami. Potem dowiedziałam się, że był to aloes – główne bogactwo wyspy. Byłam nieco rozczarowana tym pejzażem. Oczekiwałam bujnej, tropikalnej roślinności wszędzie, a tu wypalona słońcem ziemia. Owszem, po drugiej stronie drogi kompleksy hotelowe tonęły w morzu zieleni, ale to co innego.

Hotel okazał się całkiem ładnym budynkiem w stylu neokolonialnym. Miał cztery piętra, a jego nieregularna bryła tonęła – a jakże – w tropikalnej zieleni. Podczas załatwiania formalności w recepcji Jarek zdecydował, że bierzemy apartament. Biorąc pod uwagę dopłaty do jedynek, wypadło taniej w przeliczeniu na osobę. A poza tym byliśmy razem, „w kupie” jak to powiedział Wojtek. Mieliśmy salon, dwie sypialnie, dwie łazienki i balkon. Pełny barek

i lodówkę. Życ, nie umierać! Jarek z Wojtkiem zajęli jedna sypialnię, ja drugą. Pozostał jeszcze ogromny salon, gdzie śmiało zmieściłaby się jeszcze cała rodzina.

Różnica czasu zaczęła nam powoli dawać się we znaki. Był wieczór, co oznaczało, że w kraju jest trzecia lub czwarta nad ranem. Mimo tego chłopcy odczuwali bardziej głód, niż zmęczenie. Odświeżyliśmy się i zeszliśmy do hotelowej restauracji. Na razie nic nie zapowiadało burzliwych wydarzeń, które już wisiały w powietrzu. Stoliki były nastrojowo podświetlone, a wokół unosił się zapach egzotycznych przypraw. Restauracja zaczęła się zapelniać.

Na przystawkę zaserwowano nam marynowane *scavechi*, a jako dania główne do wyboru miejscowe specjały o dźwięcznych nazwach: *mochi di pisca*, *keri keri*, *komkomber stoba*, *stoba di bestia chikito*, w aromatycznych sosach, z dodatkiem południowych owoców. Jak zauważyłam, chłopcy nie gustowali specjalnie w regionalnej kuchni, opartej głównie na rybach i owocach morza.

– Jeśli deser będzie też z ryb albo owoców morza, to ja wracam! – Marudził Wojtek.

– Nie marudź! *Stoba* była z mięsa! – Zauważyłam. – A desery na pewno nie są z ryb! Likieri też nie. *Cocada* była pycha!

– *Stoba*, *kokada*, *szalu* można dostać od tych nazw! – Kaprysił Wojtek. – Nigdy nie wiadomo do końca, z czego co jest zrobione! A może z miejscowej świnki morskiej?

W tej strefie klimatycznej i kulturowej życie zaczynało się po zmroku. O tej porze dnia w naszym umiarkowanym klimacie zdecydowana większość układała się do snu. A tu – proszę – wokół rozwijało się w najlepsze życie nocne. Widząc nijakie miny chłopaków, postanowiłam ich rozruszać. Najlepszym sposobem było, oczywiście, tzw. „wsadzenie kija w mrowisko”.

– Popatrzcie, ten Latynos całkiem przystojny!

– Ale chyba zajęty, Młoda! – Gdy to mówił, do opalonego muskularnego blondyna podeszła ciemnowłosa dziewczyna, zbyt ciemna by zaliczyć ją do białej rasy. – Całkiem niezła! Ta to dopiero musi mieć temperament!

– Oczy ci wyjdą z orbit, Wojtusi, i wypadną, i już niczego nigdy nie zobaczysz. Ani kobiet, ani skałek, ani...! – Wiedziałam, że Wojtek jak każdy mężczyzna nie pogardził widokiem ładnych kobiet. Mimo, że zazwyczaj bardziej pociągały go liny wspinaczkowe, narty lub samochody. Nie do wiary, kiedy ten człowiek miał czas na kobiety? A przecież zdołał się ożenić.

– A ty zeza dostaniesz, i to rozbieżnego, od wodzenia wzrokiem za tymi Latynosami. – Potrafiliśmy z Wojtkiem dogadywać sobie bez końca i bez urazy. – Nie przyjechaliśmy tu romansować.

– Niech każdy mówi za siebie!– Odpaliłam, po minie Jarka widząc, że ogólnie zgadza się ze mną. – Mnie tam nie zaszkodzi trochę poflirtować.

– No ekipa, nie kłócić się! Ogłaszam jedyny słuszny kierunek: Do baru!

Ten region świata słynie ze różnych rodzajów rumu, z czego chłopcy wydawali się bardzo zadowoleni. Ja wolałam lżejsze koktajle – na bazie rumu oczywiście. Rum w czystej postaci przechodził gładko chyba tylko przez gardła piratów. Należał on w równym stopniu do historii tych mórz, jak piraci, awanturnicy i ich skarby. Tutejsza historia zawsze ociekała krwią i rumem. W opowieściach przewijali się konkwistadorzy i misjonarze, osadnicy i rozbójnicy, piraci i korsarze. Nie każdy wie, że w historii trafiały się też kobiety-piraci. Morskie wilczyce, które nie stroniły od mocnych trunków, przystojnych chłopaków, oraz innych męskich rozrywek. Nazwiska Lady Grace, czy też niejkiej Ann Bonnie i Mary Read, na stałe wpisały się w kroniki mórz. Nie były to w żadnym wypadku przykładowe żony i matki. Nic dziwnego, że strażnicy moralności woleliby, by poszły w całkowite zapomnienie.

Niepokorna Lady Grace uciekła na morze od swego lordowskiego męża. Nie udało się królowej Elżbiecie I namówić ją, by zamieniła pirackie rzemiosło na korsarskie. Angielska arystokratka była z pochodzenia Irlandką. Nie chciała ani wspierać brytyjskiej korony, ani dzielić się łupami z szkatułą królewską. Grasowała ze swym kochankiem głównie u wybrzeży Afryki.

Natomiast Ann Bonnie na szkunerze „Smok” grasowała między Wyspami Bahama i Antylami. Zakochała się w kapitanie pirackiego statku, Jacku Rackhamie i dotrzymywała mu towarzystwa na morzu przebrana za mężczyznę. Wyjątkowo bitny i okrutny młodzieniec budził postrach nawet wśród braci pirackiej. Równie bezwzględna i okrutna była Mary Read, o czym świadczył jej przydomek „Krwawa Mary”. W trakcie jednego z pirackich napadów ich ścieżki skrzyżowały się i odtąd zostały przyjaciółkami. Ale nie na długo. Wkrótce na Jamajce ujęto je i wraz z innymi piratami skazano na śmierć na szubienicy. Uniknęły wykonania wyroku, ale swoje marne życie zakończyły niechlubnie w więzieniu.

– Może wreszcie opowiecie więcej na temat tutejszych piratów i pozostawionych przez nich skarbów? Których mamy poszukiwać... – Głos Wojtka wyrwał mnie z zamyślenia.

– Chętnie, ale nie znam całej historii. – Powiedział Jarek. – Jest to bardzo romantyczna opowieść o księdzu, który zakochał się w pięknej kobiecie i zszedł przez to na złą drogę. Jak to często bywa w książkach i w życiu, wszystkiemu winne są kobiety. Wszystko to działo się na początku XIX wieku. Całą historię zna nasz żeglarz. Kapitan Jack ma przyjaciół w elitarnym Klubie Poszukiwaczy Skarbów i zadziwiającą wiedzę na ten temat...

Tu Jarek przerwał na chwilę, spoglądając na nasze niepewne miny.

– Tak, tak, istnieje i działa taki klub, chociaż nie afiszują się swoją działalnością. Nie wierzycie? Nie można tam po prostu przyjść i się zapisać... Członkowie tej organizacji dysponują niesamowitą wiedzą. Ale strzegą jej przed osobami postronnymi, niedowiarkami, którzy uważają poszukiwaczy za wariatów. Oraz przed różnej maści przestępcami szukającymi łatwej zdobyczy. Kapitan widział nawet autentyczne dokumenty z tamtej epoki, poświadczające prawdziwość tej historii. Wiem, bo mi opowiadał. Musicie poczekać do przyjazdu Kapitana.

– To znaczy, do kiedy?

– Sam dokładnie nie wiem. Musimy się jakoś skontaktować. Jutro spróbujemy.

Nie wiedzieliśmy, jak Jarek zamierza to zrobić, ale nikt nie drażył tematu.

– A ten gościu, cóż się tak nam przygląda? Popatrzcie dyskretnie w lewo, za siebie, ale nie wszyscy na raz! Iza, bo ci oczy wyjdą z orbit! – Jarek był jednak bystrym facetem. Niby wpatrzony tylko w swój kieliszek rumu, a jednak nic nie umknęło jego uwagi.

– Który to? Ten Latynos w łososiowej koszuli? – upewniłam się. – Chyba ci się zdaje, on akurat wychodzi. Szkoda, taki przystojny!

– Młoda, nie żałuj, jeszcze niejednego ci się trafi! Wiecie, co? Wyjdę za nim i rozejrzę się – Wojtka najwyraźniej nosiło.

– Dobra, stary, ale wracaj szybko. Czekamy na ciebie.

I tak oto Wojtek wyszedł z baru i przepadł jak kamień w wodę. A my z Jarkiem czekaliśmy, i czekaliśmy w nieskończoność. A potem wróciliśmy do swoich pokoi, ale żadne z nas nie mogło spać. Jarek uspokajał mnie, że Wojtek jest dorosłym facetem, że przecież nic nie mogło się stać. Ale mówić – to jedno, a czekać bezskutecznie – to co innego. No właśnie, dorosły facet tak nie postępuje, nie znika bez słowa.

Byłam pewna, że coś się stało i przychodziły mi do głowy różne rzeczy. Wpadł do jakiejś dziury i skręcił nogę? Wpadła mu w oko jakaś kobieta? A może po prostu zabłądził w nowym otoczeniu? Nie, nie Wojtek. On by się nie zgubił. Musiało go coś zatrzymać. Jarek

już pewno spał, a ja leżałam w swoim pokoju, nie mogąc zasnąć. Co się stało? Co z naszymi planami poszukiwać? Dokąd nas to wszystko zaprowadzi? Dochodziła trzecia nad ranem, a w moim zmęczonym mózgu wierciło się beznadziejnie jedno pytanie:

GDZIE PODZIAŁ SIĘ WOJTEK?

Rozdział 2. W którym wszystko jest inaczej niż miało być

Wstał piękny dzień – nasz drugi na egzotycznej wyspie. Oboje z Jarkiem obudziliśmy się późno po nocnym czuwaniu. Wojtka nie było w dalszym ciągu. Każde z nas w głębi duszy wierzyło, że rano zobaczymy go śpiącego smacznie w swoim łóżku. Niestety! Łóżko Wojtka było puste i musieliśmy się zmierzyć z tym brutalnym faktem.

Zeszliśmy szybko na śniadanie, a potem poszliśmy rozejrzeć się po okolicy. Nasz kompleks hotelowy nie należał do największych, ani najbardziej ekskluzywnych. Ale i tak miał masę różnych zakamarków. Nawet pobieżne sprawdzenie zabrało nam trochę czasu. Trzy restauracje, z czego jedna przy plaży, drink bar, hotelowy butik, zaciszny klub, siłownia, bilard – wszędzie zajrzeliśmy. Nawet na plac zabaw dla dzieci. W przyspieszonym tempie zapoznaliśmy się z rozkładem całego kompleksu. Na koniec został nam ogród w stylu tropikalnej oranżerii, dwa baseny, z czego jeden mniejszy, ukryty wśród tropikalnej roślinności, zachwyił mnie szmerzącym cicho wodospadem. Nigdzie najmniejszego śladu naszego przyjaciela.

Hotel miał też własny dostęp do morza – a jakże! Kawał piaszczystej plaży, a na niej mnóstwo leżaków i parasoli, chroniących przed zabójczym, tropikalnym słońcem. Wyczerpawszy na razie wszystkie możliwości poszukiwań, dotarliśmy w końcu do plaży. Biały, miękki piasek oślepił nas. Gapiliśmy się na turkusowe morze. Lekka bryza łagodziła upał. Woda w oceanie – jak marzenie! Życ, nie umierać! Ulokowaliśmy się pod jednym z kolorowych parasoli i zaczęliśmy się naradzać. Co robić? Iść na policję? Może jeszcze za wcześnie na wszczynanie alarmu? Przecież Wojtek to dorosły facet. Może dał się oczarować urokiem jakiejś Kreolki? Może po wyjściu z baru zabłąkał się i zasnął gdzieś pod palmą na plaży? W tym przypadku powinien się zjawić lada chwila. Wojtek potrafił być „zakrecony”,

jednak był odpowiedzialny. Nie znikał bez uprzedzenia. Postarałby się dotrzeć do nas jak najszybciej, lub przynajmniej, przesłać nam wiadomość, co się z nim dzieje. To wszystko oznaczało, że ma kłopoty. Mimo to, moja kobieca intuicja mówiła mi, że żyje.

– Jeśli Wojtek nie wróci do południa, idziemy na policję. – Podsumował Jaro.

– Już jest południe! – Sprowadziłam go na ziemię – A co z twoim znajomym żeglarzem? Jak się spotkamy? Umówiliście się jakoś?

– Kapitan powinien już tu być. Muszę z nim złapać kontakt. Sposób jest jeden, wypróbowany – przez Internet. Miał mi zostawić wiadomość na skrzynce mailowej, gdzie go szukać. Nie wiesz, czy w naszym hotelu mają dostęp do Internetu?

– Nie zauważyłam, ale na pewno mają. Jeśli nie, pojedziemy do miasta. Zdaje się, że najbliższym miastem jest stolica?

– I tak musimy tam zaraz pojechać przypomniał Jarek. Trzeba wynająć samochód. Poza tym musimy zaopatrzyć się w jakiś telefon komórkowy, który będzie działał w tej części świata. Kupimy, lub wypożyczymy. Wiesz, taki na kartę lokalnej sieci. Inaczej będziemy odcięci od komunikacji.

Trzeba było opuścić rajską plażę i wracać do hotelu. Zgłosiliśmy w recepcji zaginięcie naszego przyjaciela. Nie bardzo się tym przejęli, nie potraktowali tego jak zaginięcie. Na miejscu można było bezpłatnie skorzystać z Internetu (co u nas w tamtych latach nie było jeszcze tak powszechne). Jarek przesłał wiadomość na skrzynkę elektroniczną żeglarza. Że jesteśmy na wyspie, i gdzie się zatrzymaliśmy. Internet to genialny wynalazek naszych czasów. Taka magiczna, kryształowa kula, przy pomocy której widzisz, co dzieje się w odległych zakątkach naszego globu. W tamtych latach w kraju był dopiero w powijakach. Ale tutaj był już ogólnie dostępny. Swoją drogą, jak ludzie radzili sobie kiedyś, gdy nie było Internetu, poczty elektronicznej i telefonów komórkowych? Podobno nawet trafiali na czas na umówione spotkania!

Taksówką dostaliśmy się w pół godziny do stolicy. Korzystając z karty Jarka i bankomatu uporaliśmy się dość szybko z problemami finansowymi. Plastikowa karta to kolejny cudowny gadżet działający na całym świecie (no, prawie). Czuliśmy się jak Alibaba z bajki, gdy wypowiadał zaklęcie „Sesamie, otwórz się!”.

Zrobiliśmy drobne zakupy i zaopatrzyliśmy się w dwa telefony komórkowe. Wynajęliśmy też samochód, żeby mieć do dyspozycji swój środek transportu.

– Jaro, a teraz idziemy na policję!

– A jeśli Wojtek jest już w hotelu?

– A jeśli nie???

Milczenie. Przez chwilę zastanawiamy się, co robić. Jednak idziemy. Ulice raczej puste. Upał południa zagonił wszystkich pod dach. Albo pod kolorowe markizy, których tu wszędzie pełno. Lub do pomieszczeń, najlepiej klimatyzowanych.

Miejscowy posterunek. Zgłaszamy zaginięcie przyjaciela. Po raz kolejny przekonuję się, że funkcjonariusze policji w różnych krajach różną się głównie ubiorem. Styl działania mają wszędzie jednakowy. Rozmowa z policjantem w tzw. *papiamiento*, mieszance różnych tutejszych języków, brzmiała tak dziwnie, że Jarek aż otworzył usta, zdziwiony, że nagle nic nie rozumie.

- *Bon dia, señor e señorita. Mi ta bon? Czy wszystko dobrze? Aaa, usted es de Europa?*

Dyżurny policjant wysłuchał mnie i wydawało się, że nawet zrozumiał. Zapewnił nas stanowczo, że nie ma powodu się martwić. Wszystko będzie bardzo dobrze. *Hopi bon*. Oni i tak nic nie mogą zrobić przed upływem doby. Dopiero *mañana* mogą przyjąć formalnie nasze zgłoszenie o zaginięciu. Przecież nasz przyjaciel jest dorosły i może robić, co chce! Takie rzeczy tu się zdarzają. Ludzie są na wakacjach i bywa, że znikają na parę godzin, nawet na cały dzień. Po czym zawsze sami się odnajdują. Najdalej na drugi dzień. Trzeba wrócić do hotelu i spokojnie czekać. *Aye*. Do widzenia.

Mañana! Magiczne „jutro”, które znałam z opowiadań i z własnych doświadczeń. Słowo ludzi południa, flegmatycznych i nigdy niespieszących się. Nie po raz pierwszy odczułam boleśnie jego działanie na własnej skórze. *Masha danki*. Dziękujemy bardzo.

*

Nie wskórawszy nic na policji, poszliśmy powłóczyć się po ulicach i placach zalanych słońcem. Było popołudnie. O tej porze dnia było pustawo, trwała ciągle upalna sjesta. Powlekliśmy się kierunku portu. Na redzie stał właśnie prom, z którego wysypywał się barwny i krzykliwy tłum pasażerów. Minęliśmy ich i poszliśmy dalej. Tam, gdzie widać było las masztów kołyszących się w podmuchach lekkiej bryzy. To był port jachtowy, niewielka marina. Jednak nie piękne jachty, stojące na redzie przykuły mój wzrok. Moją wyobraźnię

poruszył inny, niezwykle widok. W oddali, ponad kołyszącymi się leciutko masztami, powiewał tryumfalnie czarny *jolly Roger*. Piracka bandera!

Czy ja śnię? A może to halucynacje, spowodowane tropikalnym słońcem? Wiedziałam, że w naszych czasach używa jej czasami marynarka wojenna dla uczczenia zwycięstwa na morzu. Ale tu? Kim byli ludzie, którzy ją wywiesili?

Jak lunatyk pociągnęłam Jarka w tę stronę. Jarek nie za bardzo rozumiał, dlaczego tak nagle pognałam na koniec mariny, ale posłusznie pomaszzerował za mną.

W miarę jak mijaliśmy kolejne zacumowane jachty, odsłaniał się przede mną niezwykle widok. Najpierw dwa maszty i reje z częściowo zwiniętymi żaglami. Wreszcie drewniany, smukły kadłub, pociemniały od morskiej wody, burty, galion w kształcie kobiety, rzeźbione relingi. Na redzie stał najprawdziwszy piracki bryg!

Na pokładzie kręciło się kilku ludzi. Zwijali i klarowali żagle, widać statek właśnie dobił do brzegu. O rany! To nie byli zwykli marynarze. Mieli na sobie kolorowe spodnie i koszule z innej epoki. Nosili kapelusze lub chusty owiązane dookoła głowy. Jeden z nich miał przepaskę na oku. Niektórym zza pasa wystawały krótkie kordelasy lub masywne pistolety.

Co się tu dzieje? Rozejrzałam się po nabrzeżu, czy nie ma jakiejś ekipy filmowej. Może to Polański kręci kolejną część „Piratów”? Ale nabrzeże było puste. Moje marzenie, by zobaczyć na własne oczy piracki statek, a jeszcze lepiej – pobyć na nim, zaraz się spełni! Gdybym wtedy wiedziała, że marzenia mogą zmieniać się w koszmar! Jak zahipnotyzowana podeszłam jeszcze bliżej. Dojrzałam nazwę na burcie. „ROSITA”.

Stałam jak zahipnotyzowana, nie mogąc oderwać wzroku od masztów, zwijanych żagli, piszczących kabestanów. I kolorowych postaci uwijających się na pokładzie. Statek nie mógł być oryginałem pochodzącym z epoki. Stanowił jednak wierną kopię osiemnastowiecznego brygu – niewielkiego, zwinnego dwumasztowca używanego głównie do ochrony floty handlowej oraz do walki.

– *Con ta bai, bunita bionda?* – Usłyszałam z wysoka w miejscowym *papiamento*. Rozejrzałam się w poszukiwaniu osoby, do której były skierowane. Żadnej blondynki nie było, tylko jakaś para emerytów oddalała się od nabrzeża.

– Chodź do nas, *pequeña*, zbierzemy cię na rajską wyspę – pirat w czerwonej koszuli, z chustą na głowie najwyraźniej mówił do mnie, pokazując w uśmiechu ubytki w uzębieniu. – Obsypimy cię złotem i skarbami, będziesz naszą królową.

– *Señorita* jest zajęta! *Busy! You understand?* – Jarek próbował odciągnąć mnie dalej, ale ja byłam jak w transie. Pierwszy raz widziałam z bliska „prawdziwy” piracki bryg z „prawdziwymi” piratami na pokładzie. I dałabym nie wiem co, żeby się tam znaleźć.

– Jesteście prawdziwymi piratami? Można zwiedzić statek?

– *Si, si, claro*, jesteśmy prawdziwi, *filibusteros en verdad, señorita*. – Pirat uśmiechnął się szeroko. – Chodź do nas, pokażemy ci statek.

Zobaczyłam przerażenie w oczach Jarka.

– Iza! Czym ty się tak podniecasz? Co ty, piratów nie widziałaś?

– A ty oczywiście widziałeś! Wszędzie byłeś i wszystko widziałeś! Jeśli chcesz wiedzieć, to nie widziałam, w każdym razie nie z bliska.

– Pojedź latem nad Bałtyk, tam trafisz na takie pokazy.

– Phi, takich sztucznych piratów na stateczkach z dykty przy molo, to ja mam gdzieś! To dobre dla dzieciaków na wakacjach. Ci są prawdziwi, nie widzisz? I żaglowiec prawdziwy, właśnie przyplłynął! Ja to muszę zobaczyć.

– Nigdzie nie pójdziesz! Nie ma takiej opcji! Nie wiesz, kim oni są!

– Jak to nie wiem!? Piratami! – Zażartowałam, ale widząc minę Jarka, zaczęłam go uspakajać. – Nic mi nie będzie, Jareczku! Sam przed chwilą mówiłeś, że to są tylko takie pokazy. Przecież to nie mogą być całkiem prawdziwi piraci! – Zmieniłam linię obrony. – A przebrani piraci nic mi nie mogą zrobić! Zresztą zaprosili mnie.

– Iza, to nie jest śmieszne, przecież tam jest kilkunastu chłopów. Skąd możesz wiedzieć, do czego są zdolni?

– Jarek, przecież tu jest przystań, kręcą się ludzie. (Tyle, że akurat na brzegu oprócz nas nie było żywej duszy) Ty zostaniesz na brzegu, jako gwarancja mego bezpieczeństwa, nic mi się nie stanie. W razie czego wezwiesz pomoc.

Gdybym popatrzyła na tę sytuację oczami własnej ciotki, obawy Jarka byłyby zrozumiałe. Troskliwe ciocie wszędzie węszą niebezpieczeństwo. Gdybym tak patrzyła na życie, wielu rzeczy nigdy bym nie zobaczyła i nie przeżyła.

Z drugiej strony, co mogło mi się stać tu, w tym miejscu? To, że Jarek zostanie na brzegu, było dodatkową rękojmą bezpieczeństwa. Gdybyśmy weszli na pokład oboje, to, co innego. Moje rozumowanie było całkiem logiczne. Zresztą było oczywiste, że oni nie mogli być prawdziwi. Nie staliby tak na widoku, na redzie, pod piracką banderą, tylko szukaliby

jakiegoś zacisznego zakątka. Prawdziwi piraci dawno już wymarli. Musiało być jakieś wyjaśnienie tej zagadki, i ono również pchało mnie na pokład statku.

Jarek mamrotał pod nosem coś, z czego udało mi się wyłowić tylko:

– Same kłopoty z tymi babami! Jak się taka na coś uprze, to koniec! Nigdy więcej żadnych bab w ekipie...

Ale ja już nie słuchałam. Pokazałam, żeby rzucili trap i weszłam na pokład. Co tam zobaczyłam, to moje. Pirat z przepaską na oku przedstawił się jako Capitan Ojo (czyli Oko). Zwano go tak z powodu braku oka, co ukrywał pod przepaską. Gdzie i w jakich okolicznościach je stracił – nie miałam odwagi zapytać. Kapitan mówił dobrze po angielsku, a jego sposób mówienia świadczył, że jest człowiekiem wykształconym. Kolejna zagadka, która pozostanie być może nigdy nierozwiązana.

Oprowadził mnie po swoim królestwie. Weszłam na mostek, zajrzałam do kajuty kapitańskiej, na rufę, nawet pod pokład. Dotykałam olinowania, burt, czy prawdziwe, czy nie daj Boże, plastikowe. Pomacałam żagle – wszystko było najprawdziwsze! Straszna miałam ochotę wdrapać się do bocianiego gniazda. Po namyśle obiecałam sobie, że innym razem.

Z obecnej na pokładzie załogi Capitan Ojo przedstawił mi jedynie bosmana. Nie wyglądał na Latynosa – był zbyt wysoki i potężny (Latynosi są raczej niscy i drobni). Wydawało mi się, że pod zawiązaną na głowie chustą był łysy. Na gołym torsie nosił tylko kamizelę nie pierwszej świeżości. Chyba nie znał dobrze angielskiego, bo nie odezwał się ani słowem. Kiwnął tylko głową i natychmiast wrócił do swoich zajęć, czyli do wydawania poleceń reszcie załogi. Wszyscy wydawali się bardzo zajęci przy zwijaniu żagli i klarowaniu szotów.

Kapitan Ojo wyjaśnił mi, że statek jest jego własnością. Został zbudowany w ubiegłym wieku jako wierna kopia dawnego dwumasztowego brygu. Od dawna nie pływa po otwartych wodach – ma jedynie zezwolenie na żeglugę przybrzeżną. Odbywają krótkie wycieczki z turystami na pokładzie. Oczywiście odpłatnie. Tak zarabiają na życie. Albo oprowadzają grupy zwiedzających, gdy statek stoi na redzie. Kiedyś wynajęła go ekipa filmowa i kręcili film z ich udziałem. To były czasy! Teraz jest gorzej. Ciężko zarobić na kawałek chleba. Podążają za kalendarzem imprez turystycznych, których na Antylach w sezonie pełno. Piracka bandera to taki gadżet – mają zezwolenie. Przyłynęli tutaj, gdyż za parę dni rozpoczynają się na wyspie międzynarodowe zawody w windsurfingu. Zjedzie się mnóstwo turystów, znakomita okazja, żeby zarobić.

W każdym słowie jego opowieści słychać było, że bryg i morze są jego miłością i żywiołem. Bardzo mnie tym ujął.

No i co? Nic złego mnie nie spotkało! Ani przypuszczałam wtedy, że piratów spotkam niedługo w mniej przyjaznych okolicznościach! Nawet ci tutaj wyglądali wystarczająco groźnie. A może tylko mi się tak wydawało? Reszta nie mówiła chyba po angielsku. Łypali oczami, gdy ich mijaliśmy. Kiwali głowami na powitanie i mruczeli coś pod nosem, co miało być powitaniem. A ja pomyślałam sobie, że nie chciałabym się znaleźć z nimi sam na sam na pokładzie w innych okolicznościach!

Kapitan Ojo w roli gospodarza odprowadził mnie z powrotem do chybotliwego trapu. Uśmiechnął się szeroko, gdy na pożegnanie powiedziałam: „*Masha danki. Aye.*” Jarek odetchnął z ulgą, gdy po trapie zeszałam z powrotem na stały ląd.

*

Wynajętym samochodem dotarliśmy bez przeszkód do naszego hotelu. W recepcji hotelowej, upewniliśmy się, że Wojtek nie wrócił. Zawołaliśmy *managera* hotelu, który poza tym, że był bardzo grzeczny, w niczym nam nie pomógł. Nawrzucałam mu, co myślimy na temat bezpieczeństwa gości w jego hotelu. Widzieliśmy, że nie bardzo się przejął. Ze stoickim spokojem poprosił, żebyśmy usiedli, a on zaraz udowodni, że dbają o swoich gości.

Siedzieliśmy tak, i siedzieliśmy, i nic się nie działo. Gdy nasze zniecierpliwienie sięgnęło zenitu, pojawił się z powrotem z przystojniakiem o ciemnej karnacji. Rany! To był ten sam facet, którego widzieliśmy wczoraj w barze. Ten, za którym wyszedł Wojtek, zanim przepadł!

– Iza, chyba przyprowadził ci amanta na otarcie łez! – Zażartował sobie Jarek, który najwidoczniej go nie rozpoznał.

– Jaruniu, dowcip ci się wyostrzył od tej pikantnej kuchni? – Syknęłam po polsku. – Czy ty nie widzisz, że to ten facet, za którym wyszedł wczoraj Wojtek?

– Nie żartuj, bo mi skóra cierpnie! Co to za koleś?

Manager przedstawił go jako pracownika ochrony hotelu. Typ nazywał Juan Carlos Porter. W myślach nazwałam go Latynosem, lub Metysem ze względu na ciemną karnację. Typ był przystojny i wyższy niż przeciętny Latynos.

– *Buenos dias! Señores y señorita. Good afternoon.* – Metys mówił bezbłędnym angielskim i hiszpańskim. Tylko póki co, nie mógł się zdecydować, którego z nich używać.

– Pracuję w służbie ochrony tego hotelu. Słyszałem o waszym problemie. Proszę opowiedzieć raz jeszcze, jak zgubiliście kolegę.

Szlag by go trafił! My zgubiliśmy? I w ogóle, ile razy mam to powtarzać? Już to opowiadaliśmy, na policji i w hotelu. Detektyw, a taki niezorientowany! Może mam opowiedzieć, jak to Wojtek wyszedł, żeby właśnie JEGO śledzić, po czym zaginął? A poza tym, czy detektyw hotelowy może być taki młody i tak przystojny? W powieściach kryminalnych detektywi są z reguły zdezelowani życiem.

– Chodzi o naszego przyjaciela. Zaginął wczoraj w nocy, po tym jak wyszedł z baru przewietrzyć się nieco.

Tu raz jeszcze przedstawiłam przebieg wydarzeń. Nie wspominając na wszelki wypadek, że to za nim wyszedł. Nigdy za wiele ostrożności, gdy nie wiadomo, z kim się ma do czynienia. Detektyw uspokoił nas, że takie przypadki zdarzają się czasami. On teraz robi, co do niego należy, tzn. sprawdzi w pobliskich hotelach, czy nie widziano takiego turysty. Może mamy zdjęcie naszego kolegi? Będzie łatwiej pytać. Wyjęłam i dałam mu jedyne, jakie miałam przy sobie, na którym byłam z Wojtkiem. Ciekawe, jak z niego skorzysta? Oboje byliśmy słabo rozpoznawalni, w kombinezonach narciarskich, na tle ośnieżonych Dolomitów. Obserwowałam wyraz twarzy, gdy spojrział na zdjęcie. Wyglądał, jakby pierwszy raz widział Wojtka. To mnie nie przekonało. Gdyby miał coś wspólnego ze zniknięciem Wojtka, tym bardziej nie dałby tego po sobie poznać.

W tym zamieszaniu nie zauważyliśmy, że nadszedł wieczór. Nasze żołądki zaczęły się upominać o swoje prawa. Odświeżyliśmy się i zeszliśmy na kolację. Siedzieliśmy przy stoliku i jedliśmy, prawie nie rozmawiając. Każde z nas było pochłonięte własnymi myślami. Gdzie jest teraz Wojtek? Co się z nim dzieje? Czy grozi mu jakieś niebezpieczeństwo? Podświadomie rzucaliśmy spojrzenia w kierunku drzwi, jakby czekając, żeby się w nich pojawił. Niestety, nic takiego się nie wydarzyło. Toteż, gdy do naszego stolika podszedł kelner, oboje podskoczyliśmy, jak oparzeni. Zwrócił się usłużnie do Jarka:

– *Perdoneme! señor*, jest Pan proszony do recepcji.

Siedziałam jak na szpilkach. Jaro wrócił, a jego twarz miała wyraz nieodgadniony.

– Nie, nic nowego w sprawie Wojtka, mamy za to wiadomość od Kapitana Jacka.

Podał mi kartkę, na której było tylko krótkie zdanie: